

Classics To Go

HYPNOS



H. P. Lovecraft

H.P. LOVECRAFT

HYPNOS

(HYPNOS)







HYPNOS

„Co się tyczy snu, owej złowieszczej przygody wszystkich naszych nocy, możemy powiedzieć, że ludzie kładą się na odpoczynek ze śmiałością, która byłaby niezrozumiała, gdybyśmy nie wiedzieli, iż jest ona rezultatem nieświadomości niebezpieczeństwa”

Niech litościwi bogowie, jeżeli takowi istnieją, strzegą mnie w tych godzinach, kiedy ani siła woli, ani narkotyk wymyślony przez sprytnych ludzi nie jest w stanie powstrzymać mnie przed wpadnięciem w otchłań snu. Śmierć jest miłosierna, bowiem nie ma z niej powrotu, ten jednak, który powraca do nas pośród mroków nocy, wycieńczony, ale Wiedzący, nigdy nie zazna spokoju ni zapomnienia.

Jakimże byłem głupcem, że z tak niewytłumaczalnym zapalem rzuciłem się, by zgłębiać tajemnice, których nie powinien poznać żaden śmiertelnik – i głupcem lub bogiem był mój jedyny przyjaciel, który wprowadził mnie w ów świat i udał się tam przede mną, a na koniec poznał koszmar i zgrozę, której być może również i mnie dane będzie jeszcze doświadczyć!

Spotkaliśmy się – o ile sobie przypominam – na dworcu kolejowym, w samym sercu tłumu gapiów. Leżał nieprzytomny, a dziwne konwulsje sprawiły, że jego smukłe, odziane w czerń ciało w osobliwy sposób zeszywniało. Sądzę, że mógł mieć wówczas około czterdziestu lat, gdyż twarz jego pokrywały głębokie bruzdy zmarszczek; miał ziemistą cerę i zapadłe policzki, ale owalne oblicze tego mężczyzny wydawało się niezwykle piękne, w jego gęstych falujących włosach i małej, pełnej bródce

– ongiś kruczocharnej – dostrzec można było wyraźne pasemka siwizny. Jego czoło było białe niczym marmur i tak wysokie i szerokie, że nieomal boskie.

Z gorliwością rzeźbiarza powiedziałem sobie: człowiek ten był niczym posąg fauna z antycznej Hellady, wykopany z ruin świątyni i w jakiś niepojęty sposób ożywiony w naszym dusznym stuleciu tylko po to, by poczuć chłód i napór niezliczonych, niszczących lat.

A kiedy otworzył swe ogromne, zapadnięte, pałające dziko czarne oczy zrozumiałem, iż będzie odtąd moim przyjacielem; jedynym przyjacielem tego, który nigdy ich nie posiadał – wiedziałem bowiem, iż te oczy musiały oglądać chwałę, jak i zgrozę krain wykraczających poza normalną świadomość i rzeczywistość; krain o których marzyłem, lecz których poszukiwałem na próżno.

Kiedy więc odgoniłem tłum gapiów, powiedziałem nieznanemu, że musi pójść do mego domu, aby stać się moim nauczycielem i przywódcą w zgłębianiu nie odkrytych dotąd tajemnic. Uczynił to bez słowa.

Później okazało się, że jego głos był samą muzyką – muzyką głębokich wioł i krystalicznych sfer. Rozmawialiśmy często nocami i za dnia; rzeźbiłem jego popiersia i miniaturowe wizerunki głów z kości słoniowej, aby uwiecznić rozmaite grymasy i nastroje.

O naszych zainteresowaniach nie sposób mówić – nie mają one bowiem nic wspólnego ze światem innych śmiertelników. Dotyczyły potężnego i o wiele bardziej przerażającego wszechświata niewytłumaczalnych istnień i podświadomości; wszechświata znajdującego się głębiej niż materia, czas i przestrzeń, a którego obecność podejrzewamy jedynie w niektórych fragmentach naszych snów – tych rzadkich snów poza snami, nie przydarzających się pragmatykom, ale raz czy dwa na całe życie ludziom obdarzonym nadzwyczajną wyobraźnią.

Naukowcy jedynie podejrzewają ich istnienie, choć w większości je ignorują. Mędrzy interpretowali takie sny, a bogowie się śmiali. Jeden z mężczyzn o orientalnych oczach stwierdził, że zarówno czas i przestrzeń są względne; ludzie usłyszawszy to również się śmiali.

Jednak nawet ten mężczyzna nie zrobił nic więcej, jak tylko snuł przypuszczenia. Ja i przypuszczałem, i starałem się zrobić coś więcej, mój przyjaciel zaś próbował –i nawet odniósł częściowy sukces. Razem zaś i przy pomocy egzotycznych narkotyków doświadczyliśmy w pracowni, umiejscowionej w starej wieży w hrabstwie Kent, wiele przeróżnych i zakazanych snów.

Spośród agonii i cierpień, jakich doznawaliśmy w późniejszych dniach, najgorszym była niemożność ich artykulacji. Tego czego się dowiedziałem i widziałem podczas wielogodzinnych bezbożnych badań, nie sposób opowiedzieć – z braku symboli, odniesień czy porównań w jakimkolwiek języku. Mówię tak, ponieważ w naszych odkryciach – od pierwszego po ostatnie – dzieliłem się jedynie naturą odczuć; odczuć nie związanych z wrażeniami, które zdolny jest odbierać system nerwowy normalnych ludzi.

nasze doświadczenia można by najkrócej przyrównać do nurkowania albo latania – gdyż podczas każdego z kolejnych „eksperymentów” jakaś część naszych umysłów odrywała się dziarsko od wszystkiego co realne i teraźniejsze, śmigając w eterze pośród szokujących, mrocznych, napawających zgrozą, nawiedzonych przestrzeni, a od czasu do czasu również przedzierając się przez pewne dobrze oznaczone i typowe dla nas przeszkody, które można by opisać jedynie jako lepkie, kleiste, bluźniercze kłęby oparów. Podczas tych czarnych, bezcielesnych lotów czasem byliśmy sami a czasami razem – wtedy mój przyjaciel zawsze znajdował się daleko w przdzie; wyczuwałem jego obecność, pomimo braku kształtu fizycznego, a dzięki swoistemu malarskiemu wspomnieniu, widziałem jego

twarz skąpaną w złotym blasku, przerażającą w dziwnym pięknie; owe nietypowo młode policzki, pałające oczy, olimpijskie czoło i szpakowate włosy, i brodę.

Nie liczyliśmy upływu czasu, gdyż pojęcie to stało się dla nas złudzeniem. Wiem jedynie, że musiało się z tym wiązać coś doprawdy osobliwego, gdyż koniec końców zaczęliśmy się zastanawiać, dlaczego się nie starzejemy.

Wasze rozmowy były bluźniercze: zawsze upiornie ambitne – żaden bóg czy demon nie mógłby nawet marzyć o odkryciach i podbojach, które planowaliśmy szeptem. Przeszywa mnie dreszcz, kiedy o nich mówię i nie śmiem zagłębiać się w szczegóły – choć muszę przyznać, iż pewnego razu mój przyjaciel napisał na kartce życzenie, którego nie ośmielił się wypowiedzieć na głos, a po przeczytaniu którego natychmiast spaliłem ów świstek, wpatrując się z przerażeniem w okno i widniejące za nim rozgwieżdżone niebo. Przypuszczam, że opracował on plany dotyczące władania widoczną częścią wszechświata, i nie tylko; plany by Ziemia i gwiazdy poruszały się na jego komendę i by w jego rękach spoczywały losy wszystkich żyjących istot. Przyznaję, przysięgam, że nie podzielałem jego wybujałych aspiracji, albowiem nie czuję się dość silny, by podjąć ryzyko zapuszczenia się w głąb niewypowiedzianych sfer, gdzie tylko ktoś dostatecznie odważny i bezwzględny mógłby osiągnąć sukces.

Pewnej nocy wiatry z nieznanych przestrzeni zepchnęły nas bezlitośnie w bezdenną otchłań, gdzie nie istniało zupełnie nic, nawet myśli.

Atakowało nas wrażenie niemożliwe do przekazania czy opisanie, najgorsze ze wszystkich, przyprawiające niemal o obłąd: wrażenie Nieskończoności. Przedzieraliśmy się, jak burza przez lepkie zapory, aż w

końcu poczułem, że dotarliśmy do odleglejszych krain niż te, które przemierzaliśmy do tej pory.

Mój przyjaciel wysforował się znacznie do przodu, gdy płynęliśmy pośród tego przerażającego oceanu dziewiczego eteru i widziałem grymas złowieszczonego uśmiechu malującego się na jego płynnej, świecącej i zbyt młodej „twarzy ze wspomnień”. Nagle ta twarz stała się zamglona i błyskawicznie zniknęła. A zaraz potem natrafiłem przec siebie na przeszkodę, której nie byłem w stanie pokonać. Była taka jak inne a jednak nieskończenie gęściejsza; lepka, gliniasta masa, jeżeli tego typu porównania można użyć w świecie, gdzie wszystko jest niematerialne.

Czułem, że zostałem zatrzymany przez barierę, którą mój przyjaciel i przywódca zdołał pokonać. Ponownie podjąłem próbę przedarcia się, ale w tej samej chwili sen narkotyczny dobiegł końca; otworzyłem moje fizyczne oczy, by dostrzec wokół siebie ściany starej pracowni, a w przeciwległym rogu pomieszczenia blade i wciąż jeszcze nieprzytomne ciało mego nauczyciela. W złotawo–zielonym księżycowym blasku jego marmurowe rysy wydawały się dziwnie wychudzone i obłądnie wręcz piękne.

Nagle drgnął... i niech litościwe niebiosy pozbawią mnie wzroku i słuchu, gdybym raz jeszcze miał doświadczyć podobnego przeżycia. Nie potrafię wam wyjaśnić jak brzmiał jego wrzask ani jakie czeluście najdalszych piekieł odbijały się przez sekundę w jego czarnych przepelnionych przerażeniem oczach. Powiem tylko, że zemdlałem i dopiero mój przyjaciel, kiedy już sam doszedł do siebie, ocucił mnie, spragniony czyjegoś towarzystwa –kogoś, kto pomógłby mu przewyciężyć wspomnienia okropnych koszmarów i dojmującej samotności.

To był koniec naszych ochotniczych poszukiwań i wędrówek po jaskiniach snów. Przerażony, na skraju obłądzenia, przyjaciel mój ostrzegł mnie, że już nigdy nie wolno nam zawitać do tej krainy, nie odważył się

opowiedzieć mi o tym co widział; stwierdził jednak, iż musimy spać możliwie jak najmniej, nawet gdybyśmy musieli utrzymywać się w stanie czuwania przy pomocy narkotyków.

O tym, że miał rację przekonałem się już wkrótce, gdy zapadając w drzemkę, za każdym razem, ogarniał mnie niesamowity, potworny, rozdzierający strach.

Po każdym krótkim i nieuniknionym okresie snu wydawałem się starszy, podczas gdy przyjaciel mój starzał się w niemal szokującym tempie. To potworne, kiedy, niemal na twoich oczach, komuś robią się zmarszczki na twarzy a włosy przyprósza siwizna. Masz styl życia diametralnie się zmienił. Mój przyjaciel – jego prawdziwe imię czy nazwisko nigdy nie przeszło mi przez usta – dawniej odludek zaczął lękać się samotności. Mocą nie chciał zostawać sam, nie uspokajała go też obecność kilku osób. Ulgę sprawiały jedynie huczne i tłumne biesiady – z tego też powodu już wkrótce znaleźmy prawie wszystkich birbantów i hulaków z całej okolicy.

Nasz wygląd i wiek zdawał się wzbudzać powszechną śmieszność, co do głębi mnie wzburzało, ale mój przyjaciel wolał to niż samotność. Bał się przede wszystkim przebywania samemu poza domem, kiedy na niebie świeciły gwiazdy, a gdy bywało to nieuniknione, trwożliwie popatrywał w górę, jakby lękał się jakiejś upiornej istoty czającej się gdzieś wysoko, wśród atramentowych niebios. Nie zawsze spoglądał w to samo miejsce na nieboskłonie – wydawało się, iż w różnych okresach znajduje się ono gdzie indziej.

W wiosenne wieczory punkt ten znajdował się nisko na płn. wschodzie. Latem, nieomal dokładnie pionowo nad jego głową. Jesienią na płn. zachodzie. Zimą na wschodzie, ale tylko wczesnym rankiem.

Najmniej obawiał się wieczorów w samym środku zimy. Dopiero po dwóch latach zdołałem skojarzyć jego lęk z czymś konkretnym – wcześniej

nie zdawałem sobie sprawy, iż poszukiwał jakiegoś określonego punktu, którego pozycja o różnych porach roku odpowiadała stronom świata. Punkt ów wyznaczony był, najściślej rzecz biorąc, przez konstelację Corony Borealis.

Obecnie mieliśmy pracownię w Londynie, i choć nigdy się nie rozstawaliśmy, nie rozmawialiśmy też o dniach, gdy obaj usiłowaliśmy zgłębić tajemnice nierealnego świata. Postarzeliliśmy się i osłabili od narkotyków, hulaszczego trybu życia i trwania w ciągłym stresie; rzednące włosy i broda mego przyjaciela stały się śnieżnobiałe. Nasze uwolnienie od długiego snu było zadziwiające – rzadko bowiem zdarzało się nam zmrużyć oczy na dłużej niż godzinę czy dwie i przenieść się do krain, w których czyhało na nas przerażające, choć niejasne zagrożenie.

Nadszedł styczeń, pełen mgieł i deszczów a wraz z nim kłopoty pieniężne. Coraz trudniej było kupić narkotyki. Sprzedałem wszystkie swoje rzeźby i popiersia z kości słoniowej i dalej nie miałem za co nabyć nowych surowców.

Gdyby nawet mi się to udało i tak nie miałbym w sobie dość siły, by cokolwiek z nich wyrzeźbić. Cierpieliśmy straszliwe katusze i pewnej nocy przyjaciel mój zapadł w głęboki sen, z którego nie byłem w stanie go obudzić.

Pamiętam całą scenerię, jakby to stało się dzisiaj –opustoszała pracownia na poddaszu; deszcz bijący o szyby; tykanie naszego jedyne zegara ściennego; szalone tykanie naszych zegarków leżących na komódce, skrzypienie jakiejś obluzowanej okiennicy w odległej części domu; odgłosy

miasta stłumione przez mgłę i przestrzeń; i najgorsze ze wszystkiego: ciężki, regularny, złowieszczy oddech mego przyjaciela leżącego na tapczanie – rytmiczny oddech zdający się odmierzać chwile nadnaturalnego strachu i cierpienia jego ducha, który wędrował teraz w zakazanych, niewyobrażalnych i upiornie odległych światach.

Napięcie towarzyszące memu czuwaniu stało się nie do zniesienia, a przez mój bliski obłądu umysł przepływał rwący potok trywialnych wrażeń i doznań. Usłyszałem, jak gdzieś zegar wybija godzinę – nasz tego nie robił i moja posępna wyobraźnia odnalazła w tym dźwięku punkt zwrotny do nowych rozmyślań. Zegary — czas — przestrzeń – nieskończoność, po czym przemknąwszy przez dach, deszcz i mgłę skupiał się na nieboskłonie, gdzie na płn. wschodzie wznosiła się Corona Borealis. Nagle moje wyczulone, nasłuchujące uszy wychwyciły nowy dźwięk, odróżniający się spośród chaosu innych wzmocnionych narkotykami odgłosów – niskie, przeraźliwe, natarczywe zawrodożenie dochodzące z bardzo daleka – monotonne, złowieszcze drwiące wołanie z płn. wschodu.

Nie ono jednak pozbawiło mnie zmysłów i napełniło me serce trwogą, której nie wyzbędę się już do końca życia; nie ono wywoływało również krzyki czy gwałtowne konwulsje, które skłoniły ostatecznie mieszkańców i policję do wyważenia drzwi.

Nie sprawiło tego to, co usłyszałem, ale to co zobaczyłem – nagle bowiem w tym mrocznym, zamkniętym pokoju, z oknami przysłoniętymi zasłonami, z płn. wschodu napłynął strumień przerażającego czerwono-złotego światła. Słup ten nie emanował blasku, który rozproszyłby ciemności, ale spływał na głowę mego śpiącego przyjaciela, wywołując upiorny duplikat dziwnie fosforyzującego i młodzieńczego „oblicza ze wspomnień”, jakie pamiętam z sennych podróży w nieznanym krainach

poza czas i przestrzeń – oblicze z czasów zanim mój druh przedostał się poza barierę do owych sekretnych i bluźnierczych nocnych koszmarów.

I kiedy tak patrzyłem, ujrzałem jak unosi głowę, w jego czarnych, zapadniętych oczach maluje się dojmująca zgroza a cienkie, spierzchnięte wargi rozchylają się do krzyku, zbyt przerażającego jednak, aby mógł wydobyć go z piersi. Na tej płynnej, odmłodzonej twarzy unoszącej się w powietrzu, roztaczającej upiorny, widmowy blask, odzwierciedlało się więcej dławiącego, czystego, mrozącego krew w żyłach strachu, niż kiedykolwiek z woli niebios, czy piekieł, dane mi było ujrzeć.

Pośród jednostajnego, odległego dźwięku, który stale przybierał na sile nie usłyszałem żadnego głosu, ale kiedy podążyłem wzrokiem wzdłuż słupa światła za obłądnym spojrzeniem „twarzy ze wspomnień”, przez krótką chwilę, dostrzegłem to samo, co ona: źródło owego światła i źródło przeraźliwego dźwięku. W tym samym momencie rozdzwoniło mi się w uszach i runąłem jak długi, porażony atakiem epilepsji, który właśnie sprowadził do pracowni lokatorów i policję. Nawet gdybym się starał, nie zdołałbym opowiedzieć wam co wówczas ujrzałem –nie zdradzi wam tego również spokojne śmiertelne oblicze mego przyjaciela, choć z całą pewnością musiało widzieć więcej ode mnie. Zawsze jednak będę miał się na baczności przed drwiącym i nienasyconym Hypnosem – Władcą Snów, nocnym niebem i szalonymi ambicjami chęci posiadania wiedzy zakazanej.

Nie wiem co się dokładnie wydarzyło, gdyż dziwna i upiorna siła sprawiła, iż umysł mój przesłoniła mglista zasłona niepamięci. Inni również zostali dotknięci tak bliskim obłądowi darem zapomnienia. Twierdzili, iż nigdy nie miałem przyjaciela, i że jedynie sztuka, filozofia oraz obłąd wypełniały całe moje tragiczne życie. Lokatorzy i policja owej nocy usiłowali mnie uspokoić, lekarz dał mi jakieś lekarstwa, ale żaden z nich nie dostrzegł koszmaru jaki się tu wydarzył. Nie przejęli się tragicznym losem

mego towarzysza, ale to co znaleźli na tapczanie w pracowni wywołało z ich strony wielki podziw, choć wzbudził we mnie obrzydzenie i gorycz, i który przysporzył mi sławy. Ogarnięty rozpaczą przesiaduję całymi godzinami – łysy, siwobrody, podkurczony, sparaliżowany, oszołomiony narkotykami i załamany – adorując i modląc się do znalezionej przez nich przedmiotu.

Zaprzeczają, że sprzedałem ostatnią z moich prac i z ekstazą wskazują skamieniałą, zimną, milczącą „rzecz”, którą pozostawił po sobie migoczący słup światła. To wszystko, co pozostało po moim przyjacielu: boska głowa z prastarego greckiego marmuru, młoda ponadczasowa młodością, o pięknym, brodatym obliczu i pełnych, zastygłych w uśmiechu wargach, olimpijskim czole i gęstych falujących włosach ozdobionych makami. Mówią, że to upiorne „oblicze” ze wspomnień jest odzwierciedleniem mego własnego, kiedy miałem dwadzieścia pięć lat, tyle tylko, że na jej marmurowej podstawie widnieją wyryte attyckie litery układające się w jedno, jedyne słowo – HYPNOS.